

NA NIEDZIELE

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co tydzień.

Nr. 38.

Bydgoszcz, niedziela 26 września 1909.

Rok II.

Na niedzielę siedemnastą po Świątkach.

Lekcja.

Efez. IV. 1—7.

Bracia! proszę was ja więziń w Panu, abyście chodzili godnie powołaniu, któreście powołani; ze wszelaką pokorą i cichością, z cierpliwością znosząc jeden drugiego w miłości, starając się, abyście zachowali jedność ducha w związku pokoju. Jedno ciało i jeden duch, jako jesteście wezwani w jednej nadziei wezwania waszego. Jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest nadewszystkie i po wszystkim i we wszystkich nas. Który jest błogosławiony na wieki wieków.

Ewangelia.

Mat XXII. 35—45.

W on czas przyszli do Jezusa Faryzeuszo- wie, i zapytał go jeden z nich zakonny Doktor, kusząc go: Nauczycielu, które jest wielkie przykazanie w Zakonie? Rzekł mu Jezus: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. Toć jest największe i pierwsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego, jak samego siebie. Na tem dwojgu przykazaniu wszystek Zakon zawisł i Prorocy. A gdy się Faryzeuszo- wie zebrawi, spytał ich Jezus, mówiąc: Co się wam zda o Chrystusie? czyj jest syn? Rzekli mu: Dawidów. Rzekł im: Jakoż tedy Dawid w duchu zowie go Panem, mówiąc: Rzekł Pan Panu memu, siądź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjaciół twoje podnóżkiem nóg twoich? Jeśli tedy Dawid zowie go Panem, jakoż jest Synem jego? A żaden nie mógł mu odpowiedzieć słowa, ani śmiał żaden od onego dnia więcej go pytać. Amen.

Nauka.

Faryzeusze nie tylko innych surowo sądzą, jak to wspomina ewangelia z przeszłej niedzieli, ale są i nad miarę zarozumiali z mniemanej swojej mądrości. Św. Marek opowiadając to same zajście, o którym mówi dzisiejsza Ewangelia, wspomina, że Faryzeusze wtedy przyszli do Jezusa, kiedy Saduceuszów spotkało jawne

upokorzenie za podstępne pytanie, jakie byli postawili Panu Jezusowi; mniemali, że im przecież i rozumowi i nauce ich Pan Jezus nie da rady, mieli ich więc za mędrszych nietylko od Saduceuszów, ale od samego Pana Jezusa. Faryzeusze dawni wymarli, ale nie brak i dziś ludzi zarozumiałych, którym się zdaje, że oni jedni wszystkie już rozумы pojedli i za mędrszych się uważają, niż wszyscy dawni uczeni, niż Kościół święty i niż sam Pan Bóg i objawienie Jego. Ale i o nich wciąż na nowo się sprawdza słowo dzisiejszej ewangelii: „A żaden nie mógł mu odpowiedzieć słowa“. Żaden niedowiarek i żaden bezbożnik nie może dać odpowiedzi na wszystkie i przeróżne trudności, w jakie popada każdy, co na jakiegokolwiek zapytanie katechizmowe szuka innej odpowiedzi, niż jest ta, jaką Kościół św. daje w samymże katechizmie; żaden też z nich nie będzie mógł odpowiedzieć ani słowa, gdy kiedyś po śmierci stanie przed Panem Jezusem na sąd.

„Będziesz miłował Pana Boga twego... będziesz miłował bliźniego twego. Na tem dwojgu przykazaniu wszystek Zakon zawisł i Prorocy“. Widzisz, jak łatwa jest nauka Chrystusa Pana do zrozumienia, jak łatwa też do wykonania. Byleś dobrze rozumiał te dwie zasady, byleś wiernie wykonywał te dwa przykazania, jakie Pan Jezus podaje w dzisiejszej Ewangelii, już tem samem zrozumiałeś całą człowiekowi do zbawienia potrzebną mądrość Bożą, i byleś te dwa przykazania wiernie zachowywał, będziesz prawym sługą bożym i do najwyższej możesz dojść doskonałości czyli świątobliwości. Te dwie zasady są tak pełne głębokiej mądrości, że choćbyś całe życie nad nimi rozmyślał, wciąż jeszcze coś nowego w nich znajdziesz; są zarazem tak proste, że i najprostszemu człowiekowi, co ani pisać, ani czytać nie umie, potrafi je spamiętać i byle proste miał serce lepiej zrozumieć, niż najuczcińsi nawet ludzie. Te dwa przykazania są też dziwnie łatwe, bo, aby je wykonać, nie trzeba ani pieniędzy i wielkich skarbów, ani nadzwyczajnego rozumu i rozległej nauki, nie potrzeba ani sił ani zdrowia, nie potrzeba dalekich odbywać podróży, ale trzeba jedynie dobrej woli i prostego serca. Niegdyś św. Augustyn, rozważając to, święcie i mądrze powiedział: „Kochaj, a rób co chcesz“; bo kochając Boga i bliźniego, nie potrafisz chcieć niezego złego. A o św. Bonawenturze czytamy, że wielkiej pobożności brat Idzi razu jednego mu mówił, że jemu, po-

siadającemu tak wielką naukę, łatwiej niż innym zostać świętym. Na to odpowiedział mu Święty: Mylisz się mój bracie, bo lada babka, nie umiejąca nic więcej prócz zwykłego pacierza, może większą zostać świętą, niż największy uczony, jeśli tylko kocha Boga i bliźniego, jak Bóg przykazał. To usłyszawszy brat Idzi wpadł w zachwycenie, i wybiegłszy na ulicę, wszędzie głośno wołał: Słuchajcie babki i wszyscy prostaczkowie, co mówi wielki O. Bonawentura: macie kochać Boga i bliźniego, jak Bóg przykazał, a każdy z was zostanie wielkim świętym. Obyś i ty chciał zrozumieć, że cała sztuka, żeby zostać nietylko prawym chrześcianinem, ale i wielkim świętym, polega na tem dwojgu, żeby kochać Boga twego ze wszystkiego serca i ze wszystkiej duszy twojej, a bliźniego twego jak samego siebie. Amen.

Otwarty kościółek.

Przed kilkoma laty, drogą od Krakowa szedł młody człowiek, porządnie ubrany, a niosąc tłómaczek na plecach i wywijając laską, od razu wydał się każdemu wędrownym czeladnikiem. Młodzieniec ten nazywał się Józef Kowalski. Odbywszy trzechletnią wędrowkę, jako zdalny kotlarz szedł do kraju, aby już na zawsze osiąść w którym z większych miast Królestwa.

Było bardzo gorąco, więc doszedłszy do lasu, nasz Józef minął drogę i bokiem postępował dalej. Szedł nie zważając, iż droga kręciła się na lewo, ścieżka znikła, a on pod wieczór znalazł się wśród gęstego i nieznanego sobie lasu. Ze dwie godziny tedy chodził tu i tam, aż naraz błysnęło coś w górze; był to krzyż na wieży kościelnej, obłany światłem zachodzącego słońca. Idąc w tym kierunku, natrafił wkrótce ścieżkę, a zaraz potem znalazł się przed małym kościółkiem, otoczonym wyniosłymi drzewami. Kościółek ten był w stanie zupełnego zaniedbania; mury poczerniałe, dach dziurawy, drzwi na rozcież otwarte wskazywały, że nie bardzo tu w tej stronie o chwałę Boga i przybytku Jego pamiętano.

Kiedys ojciec Józefa tak mu powiedział: Pamiętaj, jeżeli ci czas i okoliczności pozwolą, to nie mijaj nigdy otwartego kościoła; ten bowiem ku czci Bożej jest zbudowany, a wieża wskazuje do nieba, mógłżebyś więc nie korzystać ze sposobności i nie pomodlić się do Stwórcy przedwiecznego?

Przypomniawszy sobie ową radę, Kowalski wszedł do kościoła i klękawszy przed ołtarzem odmówił krótką modlitwę. Nim jednak wziął znowu na plecy swój tłómaczek, rozpatrzył się po kościółku, a zobaczywszy małą książeczkę, leżącą na stopniu ołtarza, podniósł ją z ciekawości. To książka do nabożeństwa, mówi do siebie, otwierając pierwszą kartę. A to co?... moje imię i nazwisko „Józef Kowalski“ i to moją własną ręką napisane?

Możecie sobie wyobrazić jego zdumienie, gdy przewracając dalej stronnice książeczki,

poznał te same modlitwy, te same obrazki, a nawet i plamy, jakie były kiedyś w jego książeczce, którą ojciec, gdy on miał lat ośm, na imieniny mu darował.

Tak rozmyślając, przypomniał sobie dom rodzicielski, poczciwą i znaną matkę, która jego i młodszą siostrę co wieczór stawiając przy sobie, na tej książeczce kazała się im modlić, rozповідаjąc o Bogu, Jego miłosierdziu i cudownej Opatrzności. Dalej stanął mu przed oczami poważny ojciec, gdy usiadłszy przy piecu, prawil im śliczne powiastki; lzy biednemu sierocie stanęły w oczach, albowiem matka dawno już w grobie, a ojciec, a siostra, zapewne gdzieś tułają się po świecie, jeżeli i ich święta ziemia nie pokryła!

Zrazu miał chętkę zabrać książkę jako swą własność i iść sobie dalej, lecz przyszło mu na myśl, że może ten ktoś, co ją tu zostawił, przyjdzie po nią, a tak dowie się przynajmniej, jakim sposobem dostała się w te strony.

Usiadł tedy w kąci pod chórem i czytał z owej książki. Lecz wkrótce wbiegła młoda porządnie ubrana panienka do kościoła, idzie żegnając się wprost do ołtarza, a nie zastawszy książeczki, mówi zmartwiona:

— Ach mój Boże, już jej nie ma!

Pomodliwszy się nieco, dziewczyna ze łzą w oku zabierała się do wyjścia.

— Za pozwoleniem panienko, odzywa się Józef, zastępując jej drogę, czy to tej książeczki panna szukała?

— Och tak, odpowiada przełknięta i ucieszona zarazem; to moja książeczka, a jeżeli pan nie uwierzysz, to powiem, że tam na pierwszej stronnicy jest napis: „Józef Kowalski!“

— Widać, że ta książeczka jest bardzo miłą dla panny, mówi Józef, podając takową, skoro się tak jej zgubą zmartwiłaś. Ale proszę panny, bądź taka dobra i powiedz mi, co znaczy to nazwisko „Kowalski“? Znam bardzo dobrze jednego z moich przyjaciół, który się tak samo nazywa i bardzo ciekawy jestem, skąd ta pamiątka do panienki się dostała.

— Znasz pan Józefa, znasz? — krzyknęła dziewczyna z radością; o! powiedz mi mój panie, powiedz, gdzie on jest i co się z nim dzieje? Ale może to nie ten, którego od tak dawna szukamy?... Widzisz pan, mówiła dalej, wyprowadzając go przed kościół, ojciec mój był urzędnikiem w Galicyi. W r. 1831 nie wiem dla czego, ale podobno, że groziło mu jakieś niebezpieczeństwo, opuścił miasteczko, udając się do rodziny na Litwę. Proszę pana, byliśmy bardzo biedni, matka ze zmartwienia zaraz w tydzień umarła, a nieszczęśliwy ojciec zemną i z bratem szedł dalej piechotą. W miasteczku jakimś w Galicyi jeszcze, ojciec zostawił brata u kotlarza, a my oboje szliśmy znowu daleko, o! bardzo daleko. Miałam lat sześć i nawet uczuć tego nie mogłam, gdy ojciec wkrótce zachorował... a po kilku dniach boleści umarł w miejscowym szpitalu. Pani Sierpińska, u której do dziś dnia zostaje, wzięła mię z listości do siebie, a że ojciec umierając nie napisał nazwiska miasta, w któ-

Stara Katarzyna utrzymywała chate w jakim takim porządku, gotowała dwa razy na dzień „zupiówkę“ i jadła sama bardzo mało. Zasluga nie dostawała żadnych, a Burkot kupował od wieśniaczek za byle co odłożone suknie i trzewiki i dawał je Katarzynie, która bardzo z tego była dumna. Takiej służący nie miał nikt w całej wsi!

Pewnego dnia, gdy Burkot kopał torf na małej łączce, należącej do chaty, wpadł w głębokie torfowisko i byłby niechybnie śmierć w niem znalazł, gdyby Katarzyna nie była usłyszała jego wołanie. Nie namyślając się ani chwili, rzuciła się za swoim panem i wyciągnęła go szczęśliwie z bagna.

Burkot zemdlął wprawdzie, lecz obawa o zniszczone ubranie wnet mu przytomność wróciła.

— Cóż, — szepnął, — ubranie moje — pewnie — wyrzucić muszę?

— Ej nie, — odrzekła Katarzyna. — Wypiorę wszystko, i śladu błota nie zostanie!

Burkot niezmiernie był uradowany.

— Katarzyno! — zawołał, uniesiony wdzięcznością, — uratowałaś mi życie, i za to dam ci coś!

— Ja nie nie chcę!

— Ale ja ci dam — poczekaj tylko!

I wieczorem, po zamknięciu okienic, wyjął z szafy worek z pieniędzmi i z miną człowieka, któremu cyrólik zęb trzonowy ma wyrwać, dał jej całą markę!

— Tu masz Katarzyno, — rzekł uroczyście, — to, co ci przyrzekłem. Ale dam ci pod jednym tylko warunkiem. Idź do miasta i kup za to los, — możesz za jedną markę wygrać trzydzieści tysięcy marek! Rozumiesz? I to w loteryi malborskiej. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Katarzyna wzięła markę, wsunęła ją do kieszeni i wyszła.

W niedzielę, gdy wróciła z kościoła, zapytał jej Burkot:

— Kupiłaś los?

— Nie! Zapomniałam, — odrzekła.

Następniej niedzieli powtórzyło się to sama. Katarzyna nie myślała o losie. Aż nareszcie pewnego dnia gdy Burkot znów ją o to pytał, odpowiedziała mu, że los już kupiła.

— Bardzo dobrze! Doskonale! Gdzie go schowałaś!

— Owinęłam go w chustkę i włożyłam na dno mojej skrzynki.

— A nie zgóbisz go?

— Ach nie!

— Jaki masz numer? Jaka loterya? Malborska?

— 325. — Loterya malborska.

— Bardzo dobrze! Doskonale! Tylko go nie zgub!

Burkot pobiegł do izby i zapisał sobie numer losu w Książce do nabożeństwa.

Bo nużby Katarzyna wygrała!

I wygrała!

Burkot który od tego dnia przeglądał uważnie listy loteryi z całego państwa, zerwał się i pobiegł jak szalony po izbie.

Przecież czytał wyraźnie:

— Wielki los loteryi malborskiej padł na numer 325. Wygrana wynosi pięćdziesiąt tysięcy marek w gotówce.

Burkot czytał i czytał — bez okularów i z okularami, krzyczał machał rękami, i znów czytał, — siadał, zrywał się, wybiegł z chaty, wracał, — jednym słowem, zachowywał się tak, — jak gdyby nagle rozum stracił.

Ale gdy ujrzał nadechodzącego siasiada, upamiętał się od razu i był spokojnym jak zwykle.

Zupa z kartofli była dziś bardzo dobra, lecz Burkot nie mógł jeść. Gardło jego było jak zaszaurowane, — ledwie że mówić mógł trochę.

Przez kilka dni obserwował pilnie Katarzynę, która o szczęściu swoim nie jeszcze nie wiedziała. A nuż udawała tylko że nie wie? Burkot nie był pewnym swego. W końcu doszedł jednak do przekonania, że nie wie rzeczywiście, i to go bardzo ucieszyło.

Co miał teraz zrobić? Powiedzieć jej o wygranej? Zażądać losu? Przecież kupiła go za jego pieniądze! Za jego markę! Ale ona mu losu nie odda! I już samo żądanie takie mogłoby wzbudzić w niej podejrzenie.

Burkot nie jadł i nie spał, — ciągle tylko myślał o losie i o pieniądzech. Chcąc się jeszcze więcej upewnić o wygranej, poszedł do miasta i z bólem serca kupił za dwadzieścia fenygów urzędową listę wygranych. I nie mylił się! wielki los malborskiej loteryi padł na numer 325.

Tymczasem jednak mijał jeden dzień po drugim, a Burkot nie wiedział, jak ma postąpić. Że zaś w przeciągu trzech miesięcy pieniądze wyplacono, a po upływie tego czasu wszelkie pretensje upadały, przeto należało mu się spieszyć. Dziesięć dni już minęło!

Burkot schudł, zestarzał się i jeszcze był brzydszym, niż poprzednio. Był bowiem przekonany, że należy unikać rozmowy z Katarzyną; ona domyśli się wszystkiego, i tak przepędzał całe dni w lesie, nie prawie nie jedząc.

Nareszcie wpadł na świetny pomysł! Uśmiechnął się i o mało, że nie podskoczył z radości,

Najpierw posłał Katarzynę do miasta po funt wieprzowego, tłustego mięsa, po kilka bułek, po kawę i po butelkę słodkiego likieru.

Katarzyna myślała w pierwszej chwili, że pan jej oszalał, ale posłuszna przyniosła wszystko, upiekła pieczeń ugotowała kawę i postawiła przed panem, na stole. Ktoż jednak opisał jej zdumienie i przerażenie, gdy Burkot rzekł:

— Postaw jeszcze na stół drugi talerz. Zjesz obiad razem ze mną!

Biedna była pewną, że koniec świata nadchodzi! Nieśmiała, wystraszona usiadła na krańcu ławki i czekała, co dalej nastąpi.

— Weź i jedz, — rzekł Burkot łagodnie, i sam nawet włożył jej na talerz kawałek mięsa.

Katarzyna jadła, lecz mileżała uporeczywie.

— Powiem ci teraz, — zaczął Burkot nalewając dwa duże kieliszki likieru — czemu wyprawilem ten wspaniały obiad. Oto wiesz, — chcę się żenić.

— Czemu nie, — odrzekła Katarzyna. — I wiek po temu i chata niczego...

— No widzisz! Chcesz być moją żoną?

Piorun z jasnego nieba nie byłby Katarzyny przeraził więcej niż te słowa. Po tym obiedzie była przygotowana na wszystko, ale na coś podobnego — nigdy!

I Burkot musiał dziesięć razy powtórzyć swoje pytanie, zanim je zrozumiała i w nie uwierzyła.

Przy trzecim kieliszku likieru szepnęła cicho:

— Tak.

Burkot dał zaraz na zapowiedzi, zamówił ślub cywilny, i trzy tygodnie później odbyło się wesele, na które nawet kilku sąsiadów zaproszono.

Nazajutrz rzekł Burkot do żony:

— Słuchajno Katarzyno, gdzie ty masz ten papierek?

— Jaki papierek?

— Twój los!

— Jaki los?

— No — wiesz — ten, który kupiłaś za moją markę, — wtenczas! Ba, kto tam wygrał kiedy w loteryę! A tak mi było zimno, że...

— Że co? — powtórzył Burkot błędąc.

— Że za tę markę kupiłam sobie parę wełnianych pończoch!

— I nie masz — losu? — jęknął.

— Nie mam!

— A numer 325?

— Eh, powiedziałaś to tak na chybił traf, bo już mi się te ciągle pytania znudziły. Kto tam głupi losy kupować! Ja wygrałam wielki los, bo dostałam męża, chociaż byłam służącą i mam pięćdziesiąt lat! O inny los nie dbam!

Burkot stał przez chwilę jak nieprzytomny. Nie wiedział, czy rzucić się na żonę i zabić ją, czy śmiać się z jej głupoty albo z swojej, w końcu westchnął, zaklął straszliwie i wypił wszystkie resztki wina i wódki z wczorajszego wesela.

Nigdy już w życiu nie dał żonie pieniędzy na kupienie losu!

Polska dziecińo!

Polska dziecińo! gdy przed obrazem Królowej naszej złożysz rączeta...
Kiedy twych modłów za ojca — matkę
Słyszysz szept cichy Panienska Święta —

O! wspomnij wtedy i Polskę biedną!
W której lzy krwawe sto lat już płyną..
I za Ojczyznę módl się serdecznie!
Polska dziecińo!

Polska dziecińo! kiedy się tulisz
Do serca matki — do ojca ręki...
Kochasz ich szczerze i za ich miłość
W słodkiej pieszczocie skadasz im dzięki...
O! wspomnij wtedy i Polskę naszą,
Której dni w więzach — w kajdanach płyną,
I dla Ojczyzny mieć miłość wielką!
Polska dziecińo!

Polska dziecińo! gdy w równienników
Wesołem kółku bawisz się mile...
Gdy macie książek przeslicznych wiele,
Ach! i zabawek tyle, ach tyle...
Wspomnij o dziatkach, co zziębłe — głodne —
I którym lata bez nauk płyną...
O biednych dzieciach wśród zabaw swoich
Wspomnij dziecińo!

Polska dziecińo!... gdy o Kościuszcze
I Raclawicach gwarzą ci starzy!
Gdy z uniesieniem słuchasz powieści,
A zapal, męstwo w twem sercu żarzy!...
Zwróć myśl serdeczną do chat wieśniaczych,
Do tych piosnek, co wśród pól płyną...
Pokochaj lud nasz w białych siermięgach!
Polska dziecińo!

Polska dziecińo!... kiedyś swobodna
Jak ptaszę w polu — jak motyl w maju...
Wspomnij i o tych, co wśród niewoli
Do rodzinnego tęsknią wciąż kraju,
Którzy dźwigają ciężkie kajdany
W Sybirskich stepach pod knutem giną...
Biednych tułaczów — wygnańców biednych
Wspomnij, dziecińo!

Myśli i zdania sławnych ludzi

objaśnione dla pożytku młodzieży.

Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem.

(Mickiewicz).

Jak wino rozwesela i ożywia umysł człowieka, tak pieśń rozwesela i podnosi duszę. Dla tego też śpiew po wszystkie czasy był ulubioną rozrywką ludzi, a pielęgnowanie śpiewu stanowi bardzo ważną część wychowania młodzieży.

ROZMAITOŚCI.

U lekarza.

— Panie radco! Nie wiem rzeczywiście, co począć! Mam rozstrojone nerwy, głowa mi tak dokucza, że nie przespałem od tygodnia ani jednej nocy. Cóż tu robić?

— Żeń się pan a wyzdrowiejesz.

— Proszę pana radcy, kiedym ja zonaty!

— No, to rozwiędz się pan!